Nr. 12. We Lwowie dnia 19. marca 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Nasze barwy narodowe i herb.

I.

Przy każdej narodowej uroczystości, powtarza się dosyć dziwne zjawisko, świadczące niekorzystnie o naszej narodowej samowiedzy — mianowicie rozmaitość w używaniu narodowych barw i herbu historycznego, które powinny być przecie doskonale znane każdemu Polakowi. Obok biało-czerwonych sztandarów, pojawiają się stale trójkolorowe wstęgi, obok historycznej tarczy z Orłem i Pogonią spotyka się coraz częściej herb potrójny, na którym dodano postać Archanioła z mieczem w ręku. Nie przywiązujemy zbytniej wagi do tych godeł i znaków, ale nie trzeba zapominać, że chociaż wielkiego wewnętrznego znaczenia te oznaki mieć nie mogą, odgrywają one w historycznem życiu narodów nie małą rolę, tam mianowicie, gdzie jak w Europie zachodniej, pojęcie o narodowości zlewa się z wyobrażeniem państwa. We Francji n. p. kokarda, sztandar znaczą bardzo wiele, bo ani etnograficznych, ani nawet historycznych podstaw narodowego bytu żaden Francuz nie rozumie; chorągiew trójkolorowa obleciała świat cały, jako symbol nowej, rewolucyjnej Francji, w braku innych, dotykalnych i rzeczywistych jej wytworów — bo wszelkie polityczne zmiany we Francji od stu lat z górą kończyły się zazwyczaj przeróbką nazw i szyldów, nie dotykając starej absolutystycznej centralizacji, a nawet burbońskich edyktów. Tam giną za kokardę, wyrzekają się tronu, jak ostatni z Burbonów, Henryk V., byle nie porzucić białego sztandaru. Kolorowe szmaty mają tam znaczenie zupełnie dla nas, Polaków, niepojęte.

Nie chcemy też wprowadzać do kraju takiej francuskiej mody — mamy ich i bez tego dosyć. Narodowość nasza opiera się na ściśle etnograficznej i historycznej podstawie i żadna kokarda jej nie zmieni. Ale właśnie dla tego trzeba się wystrzegać sprzeniewierzenia się odwiecznej zasadzie i zastąpienia jej rozmaitemi naleciałościami, stojącemi na przeszkodzie naszemu odrodzeniu, i tak niezmiernie zewsząd zagrożonemu. Im stalej się będziemy trzymali pewnych i niezmiennych odznak, tem łatwiej wszyscy porozumieć się i połączyć możemy, a wprowadzenie nowych kombinacji, opartych na religji, na stronnictwach, na naśladowaniu zagranicznych wzorów, jednem słowem na czynnikach, nie mających żadnego związku z naszą narodową odrębnością, może nam tylko zaszkodzić. Można być zarazem Polakiem i katolikiem, ewangielikiem, żydem, arystokratą, socjalistą, ale narzucanie całej Polsce wyłącznie katolickich, luterskich, arystokratycznych, socjalistycznych godeł, nie pozwoliłoby nam się wyleczyć z tradycyjnej anarchji, głównej przyczyny naszego upadku. Na pozór nie warto o tem wspominać z powodu kolorowego płótna, albo malowanego herbu, ale zdaje nam się, że nie zaszkodzi przypomnieć, zkąd się wzięły niektóre takie godła, używane dzisiaj niewłaściwie i bez należytej świadomości.

Każdy Polak wie, a przynajmniej wiedzieć powinien, że barwy nasze narodowe są czerwona z białą — bo przecież herb narodowy, od samego początku naszego istnienia niezmieniony, to biały orzeł na czerwonem polu. Trójkolorowa chorągiew, biało-czerwono-niebieska, jest dopiero zabytkiem 1848 roku. Wszystkie stronnictwa narodowe demokratyczne brały wówczas przykład z francuskiej rewolucji i chorągwie trójkolorowe wyrastały w Europie i Ameryce, jak grzyby po deszczu. Takim sposobem powstały włoska i węgierska chorągiew (biało-czerwono-zielona), belgijska i inne; nawet niemieckie narodowe stronnictwo, przerobiło swoją histo-

ryczną czarno-żółtą chorągiew na trójkolorową, dodając trzecią czerwoną barwę. Nasi demokraci nie mogli się nie poddać ogólnej modzie, i zaczęli używać poprostu francuskich barw, nie zważając wcale, ani na historyczną tradycję, ani na ogólny narodowy obyczaj — a dla większego prawdopodobieństwa, zaczęto nawet przekształcać herb polskiej rzeczypospolitej i malować Pogoń litewską na polu niebieskiem. Krakowscy jubilerzy święcie zachowali tradycję 1848 roku, i nie jeden szlachcic, który wiezie kontrabandą do Królestwa śliczną spinkę z czerwono-błękitnym herbem, zadrżałby ze zgrozy, gdyby wiedział, że przyodziewa takim sposobem barwy ś. p. Centralizacji i przyłącza się, nie wiedząc o tem, do stronnictwa Heltmanów i Mierosławskich.

Dziś, trójkolorowa chorągiew, najmniejszej już niema dla nas racji bytu. Przesławna francuska demokracja, zdradziła nasamprzód cały ruch narodowościowy europejski, a dziś kłania się carowi — nie dla nas jej barwy i hasła! Tembardziej się wystrzegać należy owych szarf trójkolorowych, że używając je, wywieszamy, niewiedząc o tem, czysto moskiewski sztandar. Dawno przed tem, nim francuska rewolucja 1789 roku wprowadziła czerwono-biało-niebieską chorągiew, była ona sztandarem morskim państwa rosyjskiego, bo Piotr I. wdzięczny za holenderskie swoje wychowanie, pożyczył poprostu od Niderlandzkich Stanów Zjednoczonych ich historycznego godła, wziąwszy zarazem czarno-żółty sztandar niemieckiego cesarstwa. Po dziś dzień wszystkie moskiewskie kupieckie okręty używają trójkolorowej czerwono-biało-niebieskiej holenderskiej chorągwi i przy każdej carskiej uroczystości ozdabia ona wszystkie domy w całej Rosji. Zdaje się, że takiego przykładu naśladować nie warto.

JAN KASPROWICZ

ALFRED TENNYSON.

SZKIC LITERACKI.

III.

Publiczność była jednak nieco łaskawszą na nowego poetę — podobała jej się ta melodyjność, a przedewszystkiem galerja portretów kobiecych, wdzięcznie i zręcznie namalowanych, choć głębszego nic posiadających wyrazu — cacka filigranowe, dla których miejsce w mieszczańskich tzw. »serwantkach«.

Jest tam wspomniana już »Lilian«, nielitościwa kokietka, która, widząc, że zapalony młodzieniec chce jej miłośne zrobić wyznanie, rzuca mu przeszywające, cichym uśmiechem przysłonięte spojrzenie i potem śród objawów wesela ucieka.

Jest tam dalej »Mariana«, zawodząca wieczorem, gdy rosy spadną na ziemię, gdy nietoperze latać poczynają; zawodząca o północy, gdy huk sowy rozbrzmiewa naokoło; zawodząca nad ranem, gdy kury zapieją, gdy z bagnistych łąk unosi się w powietrzu przeciągły ryk bydła; spoglądająca załzawionemi oczami na rozległe pola, wijące się przed jej domem, na długie cienie topoli, zaścielające drogę, gdy u góry srebrny miesiąc zaświeci — zawodząca nad opuszczeniem swojem, nad obojętnością kochanka, który gdzieś daleko nie myśli o tem, że jej los »tak jest okropny, okropny, że jej tak smutno, smutno, że pragnęłaby umrzeć jak najprędzej.«

Jest tam druga »Mariana«, podobna do pierwszej i z tego samego powodu rzucająca skargi. Jest tam dumna »Pani z Szalott«, która przy krosnach całemi dniami siedzi u okna i nie ma odwagi spojrzeć na drogę, prowadzącą ku sąsiedniemu zamkowi, ponieważ jakiś tajemniczy głos jej podszepnął, że przekleństwo ją spotka, gdy to uczyni. Przypadkiem jednak spojrzała i w sercu jej, nieprzystępnem dla uczuć zwykłych śmiertelników, budzi się miłość ku rycerzowi, stojącemu u bram jej siedziby. Ale pani z Szalott zbyt dużo ma dumy, ażeby się poddać słabości — nie mogąc utrzymać gorącego uczucia na wodzy, ubiera się w suknię białą, wsiada w łódź, aby w burzliwą noc zginąć w nurtach morza.

Dama z Szalott z tego jeszcze względu zasługuje na wspomnienie, ponieważ stała się prototypem zimnej, »posągowej tragiki«, będącej właściwością nietylko Tennysona ale i współczesnych nam poetów angielskich ze szkoły nowo-romantycznej, albo jak sami ją nazywają, ze szkoły prerafaelickiej: poetów, jak Gabrjel Rosetti, Algernon Swinburne i wspomniany na początku William Morris.

Jest tam dalej »Fatima«, omdlewająca z miłości, niektórymi akordami przypominająca bohaterkę Salomonowej »Pieśni nad pieśniami«, ową Sulamitt, która drży na całem ciele, gdy ze wzgórzy, wonnym krzewem porosłych, zbliża się ku

niej ukochany: »Jak struny srebrne — tak woła Fatima — wiatr naokoło rozbrzmiewa; południowy upał spływa na pagórki, którymi on kroczy; obłoki towarzyszą wybranemu — prędzej o! prędzej! Morze światła oblewa mnie całą; dziką żądzą, jakiej dotychczas nie zaznałam, rozpala się moje serce, gdy on nadchodzi ku mnie.«

Jest tam pomiędzy innemi »Izabela« i »Magdalena«, i »Adelina«; jest tam »Pani morza«, któraby całemi dniami rozczesywała, jak Loreley Heinowska, perłowym grzebieniem swoje złociste warkocze, spiewając: »gdzie jest ten, coby mnie ukochał?« któraby je czesała, ażby kędziory opadły do ostatnich głębin morza, tam gdzie czerwone płoną korale; któraby, rozczesawszy te włosy, zeszła z złocistego tronu ku szeregom mieszkańców wodnych płci męzkiej, ażeby z nimi razem poszaleć — któraby jednak, jak każda przyzwoita angielka, nie pozwalała im się zbytecznie zbliżyć do siebie. O pocałunki jej starać się trzeba długo, bardzo długo, trzeba być królem tych wszystkich wspaniałości, mieszczących się w morzu pośród pokładów jaspisu, a przynajmniej — jakimś lordem.

Jest tam wreszcie »Oenone«, mitologicznego Parysa kochanka, zdradzona przezeń dla Afrodyty, czy dla Heleny, skarżąca się rzewnemi tony górom i strumieniom i lasom idajskim.

Oenone*) zasługuje ze wszystkich co dopiero przytoczonych utworów na szczególniejsze wyróżnienie: bogaty w tęczowe barwy i dźwięki styl Tennysonowski w największej tutaj występuje okazałości, choć mniej jest przeładowany aparatem techniki poetyckiej, niżeli takie »Mariany« i inne jego utwory.

Oenone jest rodzajem starożytnej nenji, mimo nagromadzenia niezwykłej ilości środków poetyckich, mimo całego przelewania się barw i dźwięków, napisanej w stylu miarowym, podniosłym — w stylu, zdradzającym na każdym kroku pewną powściągliwość artystyczną. Skarga Oenony nie ma w sobie nic z szarpiącej rozpaczy Laokoona, jest to raczej w spokoju zamknięta boleść, jaka znamionuje rzeźby z czasów najwspanialszego rozkwitu skulptury greckiej.

O »Lotofagach«, odznaczających się co do techniki niezwykłą wypukłością, wspomniałem na początku, tak samo o »Śmierci łabędzia«, o »Królowej maja«, »Pani morza« itd. Kilkoma słowy pragnąłbym tylko jeszcze zwrócić uwagę na utwór inny, w tomiku tym zawarty, mianowicie na »Poetę«. Jest to bezwątpienia akord, uderzający najsympatyczniej, hymn wiecznego pokoju, który zawładnie nad światem, gdy berło ujmą w swe ręce ludzie wiedzy i pieśni. Wieje z niego ten sam duch, jaki spotykamy w »Utopji« starego kanclerza Moora; ten sam duch, który wypełnia poezję Shelleya; ten sam duch, który jak promień słoneczny drży w marzeniach idealnego socjalizmu; ten sam duch, w imię którego odbywają się dzisiaj kongresy po świecie, dążące do położenia tamy panowaniu morderczego żelaza; ten sam duch, który na widok krwi uczuwa wstręt niepohamowany; ten sam duch, który na miejsce rozjuszonego zwierzęcia pragnąłby postawić prawdziwego człowieka...

»Poeta, pod złocistą urodzony gwiazdą... przejrzał śmierć i życie, złe i dobre przejrzał, jak samego siebie. Przed nim, nakształt księgi otwartej, leżały cuda, jakie wieczysta spełnia wola. I kroczył naprzód ku szczytom, na których promienieje sława; niewidzialny strzał jego myśli miał skrzydła z płomieni i, z słodkim dźwiękiem, wystrzeliwszy, jak trzcina indyjska, z ust srebrnych, poleciał od Kalpy do Kaukazu i rozjaśnił naokoło powietrze, że się paliło jak ogień i dźwięk wydało ze siebie pełny a miękki... I zapuścił korzenie siew mądrości — i... powstali szermierze wiosny, pełni odwagi i męstwa, i... pochwycili oszczepy, ażeby walczyć za prawdę. I prawda zrodziła się z prawdy, i cały świat naokoło zmienił się w raj rozkoszy, do którego przez cieniste sklepienia mgieł przedzierał się złoty promień słoneczny. Wolność, otoczona blaskami zórz, podniosła dumnie piękne swe oczy, a od ich ognia, rozpłynęły się jak śnieg, skostniałe ustawy i prawidła. Jej szaty jasnej, oblanej słońcem wschodzącem, nie kalała krew, ale na okół ócz tej bogini, jakoteż na rąbkach jej sukni płomieniła się ognistemi głoskami mądrość, straszliwe słowo, które despotom męstwo odbiera. A słowa z ust Wolności drżały jak echo dalekiego gromu, a treść jej słów była jak błyskawica, rozdzierająca ducha ludzkiego i podziwem wypełniająca ten padół ziemski. Prawica jej nie dzierży miecza, a tylko księgę poety, którego słowo światem kieruje.«

Ten sam motyw powtarza się także w ulotnym wierszyku, zatytułowanym: »Ongi wolność była na wyżynach«.

---

*) Patrz »Oenone« w przekładzie autora niniejszego szkicu »Ateneum«, lipiec 1893.

(Z piosnek morskich).

Kropla.

Otchłań bezmierna to gaśnie, to płonie,
Tysiące blasków igrają w przestworzu,
Mała, promienna, bezpowrotnie tonie
Kropelka w morzu.

A otchłań chciwie przed nią się otwiera,
Chłonie maleńką, choć sama tak wielka,
I tak, bez wieści w głębinach umiera
Mała kropelka.

I ty, tak samo uczyniłeś ze mną, —
Duch twój ogromny, głęboki, daleki,
Jak dziką przepaść otworzył przedemną,
By mnie pochłonąć na wieki...

Wiedziałeś, że choć prostotę gołębią
Mam w duszy, to mnie jednak oczarować
Możesz dantejską twego ducha głębią,
Której się lękam nurtować.

Myśl moja, uczuć zmęczona pożarem,
W ten krater ducha twego leci — dąży —
I walczy z lawy twej groźnym bezmiarem,
Póki jak kropla w nim się nie pogrąży...

Szczęsna.

LISTY SZWAJCARSKIE

III.

torja ruchu rewolucyjnego w Rosji — przez Alfonsa ına. Dołączone uwagi Ławrowa i krótka rozprawka :hanowa. Podział Europy na dwa obozy. Szczególne za-'zenie się stosunków we Francji. Czy i my pójdziemy tą samą drogą?

—∿—

Najdokładniejsza historja ruchu rewolucyjnego w Rosji wyszła w języku niemieckim. Jest to dzieło Alfonsa Thuna, które niedawno tało spolszczone (Alfons Thun. Historja ruchu 'olucyjnego w Rosji. Przekład z niemieckiego. drukarni Przedświtu. 1893).

Autor czerpał swoje wiadomości z literatury 'olucyjnej rosyjskiej i z opowiadania osób, :e brały udział w wypadkach rewolucyjnych lub pozostawały z temi osobami w bliskich stosunkach. Ta ostatnia okoliczność uwidoczniła się w dziełku aż zanadto w tem, że autor w ogólnych swych poglądach jest mało samodzielny, a najczęściej przyjmuje ten punkt widzenia, na którym stała osoba opowiadająca. Szczególnie jest widocznym wpływ Dragomanowa. Można też zarzucić dziełu zanadto wielką drobiazgowość faktów i niedostateczne często ich kojarzenie.

Do polskiego przekładu są dołączone nieliczne uwagi Ławrowa, ograniczające się wyłącznie na sprostowaniu faktycznem, i krótka rozprawka Plechanowa: O socjalnej demokracji w Rosji. Zdolny ten pisarz słabo się wywiązał ze swego zadania. Nasamprzód razi w jego rozprawce niezasłużenie lekceważący ton, z jakim mówi o Ławrowie, a następnie dziwnem wydaje się to namaszczone filozoficzne dowodzenie tego, co samo przez się jest jasnem i zrozumiałem. Trzeba być chyba zaślepionym doktrynerem, ażeby nie rozumieć, że w o l n o ś ć p o l i t y c z n a jest najważniejszą potrzebą dla narodu rosyjskiego i pierwszym warunkiem jakiegokolwiekbądź rozwoju w kierunku postępowym. Nie wynika stąd, ażeby stronnictwo, które uzna wolność polityczną za naczelny punkt swego programu, nie stawiało w nim i tego zadania, które spółczesny postęp czyni ogólno-europejskiem.

Taką sprawą ogólno-europejską była w XVI. stuleciu sprawa kościelna, w drugiej połowie XVIII. stulecia — polityczna, obecnie niezaprzeczenie jest nią społeczna. Jak w XVI. i drugiej połowie XVIII. stulecia uformowały się dwa obozy, walczące ze sobą, tak i dzisiaj coraz wydatniejszym staje się taki podział. Widzimy to przedewszystkiem we Francji. Z jednej strony dokoła istniejącego rządu nastąpiła koncentracja wszystkich stronnictw, które pragną utrzymać w swem ręku dziedziczne bogactwo i stworzone przez się przywileje. Z drugiej strony stanął obóz, nad którym moralne przewodnictwo objęło stronnictwo socjalistyczne, a który szybko rośnie tłumem niezadowolonych z obecnego stanu rzeczy.

Analogja dziejowa prowadzi do smutnych przypuszczeń. Jak zwoływane w XVI. stuleciu sobory nie zażegnały wojny domowej, tak i w drugiej połowie XVIII. stulecia odepchnięto genjalnego Turgota, który przestrzegał przed zbliżającą się burzą. I dzisiaj we Francji, zamiast dawnej polityki ugodowej, która zachęcała do organizowania syndykatów, która otwierała dla robotników giełdy pracy, która starała się wznieść ponad interesy klasowe, zapanowała polityka wojownicza. Wypowiedziano bój socjalizmowi i klasie robotniczej. Zamknięto giełdy pracy, zaatakowano syndykaty, robotnikom pokazano pięść i bagnet. Pod pozorem ścigania anarchistów, obostrzono ustawodawstwo prasowe i powiększono władzę policji. I dzieją się takie rzeczy, jak otwieranie listów prywatnych. Nieopatrzna burżuazja woła o coraz nowe gwałty. Zachciało

się jej sądów wojennych, a nawet wniesiono do izby petycję, ażeby urządzić deportację wszystkich socjalistów! W parlamencie butni obrońcy dzisiejszego porządku rzeczy prowadzą dyskusję w sposób drażniący i wyzywający. Czyżby się miało sprawdzić nasze przysłowie, że kogo Pan Bóg chce skarać, temu rozum odbiera? A jeżeli ufają temu, że mają kule na swoje zawołanie, to możnaby im przypomnieć drugie nasze przysłowie: »Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi«.

My nie mamy własnych bagnetów i kul, a na cudze nikt na pewno rachować nie może. Okoliczność ta powinnaby odjąć charakter ostry rozwiązaniu kwestji spornej. Mieliśmy myśliciela, który był mocno o tem przekonany. »Rewolucja — powiada Henryk Kamieński — jest to funkcja organiczna, społeczna, przez którą wykształca się organizm narodu; odbycie zaś tej funkcji wśród powszechnej jedności pomiędzy ludźmi jest najpożądańszym wypadkiem i wyłącznym, rzadkim i wyjątkowym w dziejach ludzkości stanem, w który nas przemoc zewnętrzna wprowadza«. Niestety, zachowanie się posłów galicyjskich w sprawie powszechnego głosowania, nie usposabia do wiary w tę pożądaną — już nie powiem — jedność, ale gotowość rozumną do przyczynienia się, aby odbyła się »łagodna rewolucja«, jaką zalecał Kołłątaj na początku Czteroletniego sejmu.

B. L.

W DRODZE.

SZKIC

Zygmunta Niedźwieckiego.

Gromadzono się po cichu.

Wuflewicz stał na rogu uliczki i przyprowadzał każdego z osobna do wozów, ukrytych w ciemności podłego zaułka, gdyż samiby nie trafili.

Niektórzy siedzieli już na furach. Szczególniej pierwsza, z budką, była już prawie zapełnioną, obiecując w razie deszczu, jakie takie pod tym płóciennym daszkiem schronienie. Parę osób jednak stało jeszcze na ziemi; między niemi dyrektorowa, która ciągle przez nos szeptała: »cicho, cicho!« — szarpiąc za rękę tych, co nieostrożnie głos podnosili w rozmowie.

Podniecała wszystkich ta tajemnicza ucieczka o północy, z zaułka, na który wychodziły same podoły, pobudowane na tym boku miasteczka, głuche, nieme i niewidome budynki bez drzwi i okien, bezpieczne, jak śpiący ślepiec, świadki odjazdu, o którym nikt nie wiedział, który był tajemnicą, zaprzysiężoną od rana w trupie, niby grzmach w gronie spiskowców. Podczas kiedy miasto spało, a na murach żółciły się afisze, zapowiadające na jutro widowisko, dla uśpienia czujności wierzycieli — oni sprowadzonemi ze wsi furami, opuszczali »dziurę«, w której dochód z przedstawień nie zwracał nawet kosztów muzyki i światła; w której w ciągu czterech tygodni daremnych oczekiwań na jaką taką kasę zrobili więcej długów, niżeliby mogli teraz zapłacić w razie najlepszego choćby powodzenia.

Już wszyscy byli na miejscu oprócz Dolewskiej, która się zawsze i wszędzie spóźniała — i samego dyrektora.

— Gdzie dyrektor? — pytano raz po raz żartobliwym szeptem naradzających się złodzieji. — Czy go, aby, nie przyłapali?...

— On już przyjdzie — uspakajała dyrektorowa, zdająca się znać powody opieszałości męża.

— Ale gdzie Dolewska?!... Ona nam gotowa zostać... Z tą dziewczyną zawsze musi być kram...

— Możeby pójść?... — zapytał z lekkiem zmięszaniem Nowiński, ośmnastoletni uciekinier ze szkół, rumieniący się jak podlotek, zakochany platonicznie w Dolewskiej, która w jego oczach mizdrzyła się do całego świata, nie umiejący ruszać się i wyjęzyczyć w najmniejszej rólce, przymierający głodem, używany do wszelkich posług, ogołocony już co do kawałka z bielizny i garderoby, jaką wniósł do trupy przed miesiącem, zostawszy aktorem z namowy okpiszów, wmawiających weń talent na podstawie jakiejś czułej deklamacji i udawania ruchów profesora, a przedewszystkiem na podstawie hojności, okazywanej aktorom. Właściwie wciągnęły go do teatrzyku oczy Dolewskiej.

Dyrektorowa ofuknęła go opryskliwie. Tym ciężarem trupy, niewiniątkiem, suszyła mężowi głowę nie od dzisiaj, aby się pozbył tego smarkacza, któremu trzeba było płacić gażę — za nic. Nie powiedziano dziś jemu jednemu z aktorów nic o wyjeździe, chciano go zostawić, ale się dowiedział wypadkiem i teraz od godziny była wściekłą na niego, bo się zjawił pierwszy u wozów.

Wtem ukazała się Dolewska, przywiedziona w ten czarny kąt przez Wuflewicza, odstawiającego wszystkich, jak lokaj gości do salonu w wielkim domu.

— Jesteś pani?! Nareszcie!... — gderała przez nos, długi nos czarownicy z obrazka, wpięty między dwa małe, ciemne oczka, dyrektorowa. — Jużeśmy myśleli, że pani zostaje...

— Musiałam się przecież spakować...

Nowiński, noszący ten tradycyjny pseudonim najmłodszego w trupie, nadawany początkującym, wzruszony przybyciem jej, ukłonił się swemu bóstwu.

Bez powitania wyciągnęła do niego obie obciążone ręce, mówiąc:

— Potrzymaj pan.

Z rozkoszą odebrał od niej coprędzej koszyk ręczny, naładowany drobiazgami, które rozpychały wieczko i wiązadełko z chustki, pełne rzeczy.

— A kufer mój jest?... Nie zapomnieliście?... — zapytała dyrektorowej.

— No, rozumie się, że jest.

— Gdzie pan dyrektor? — odezwał się znów czyjś głos z płóciennej budki wozu, każdy bowiem miał powody, spieszyć się z wyjazdem.

W tej chwili z ciemności wynurzył się gruby, zezowaty człowieczek, podobny miną do masarza i szepnął wesół, a kontent z udania się ucieczki.

— Macie mnie. Są wszyscy?

— Tak.

— Siadać i w drogę.

To rzekłszy, wlazł w furę z budką, za nim żona, podnosząc suknie. Przy wozie czekała Dolewska i Kłapczyńska. Pierwsi usadowiwszy się i ujrzawszy obie czekające na swą kolej, podnieśli głos:

— O! już nie można! już nie można!... Tylko jedno miejsce!...

— To ja siadam — odezwała się słabym swym głosem Kłapczyńska i zaczepiła rękoma o brzegi fury.

— Dlaczegoż pani?... Ja panu już dałam moje rzeczy — sprzeciwiła się Dolewska.

— Paniś dopiero przyszła, a ja już od godziny położyłam sobie szal na siedzeniu, tylkom wolała jeszcze zostać na powietrzu.

— Ja nie pojadę odkrytym wozem — fuknęła z dąsem Dolewska, uważająca się ze względu na urodę i powodzenie u mężczyzn za gwiazdę trupy.

Kłapczyńska jednak, wytrzęsająca od piętnastu lat swe kości w artystycznych podróżach po prowincji, patrzała na tę kokietkę bez talentu, jak na smarkacza, w porównaniu ze sobą, weteranką sceny, i odpowiedziała:

— Prędzej pani musisz jechać, niż ja.

— Prędzej? A to dobre!...

I zaczęły się kłócić u wstępu do wozu, który naraz stał się miejscem honorowem.

Dyrektor, przerażony niebezpieczeństwem zwady w tej stanowczej i ryzykownej chwili, wychylił głowę z budki i biadał:

— Dolesiu!... królowo! moja pani złociutka!... ustąp... ze względu na wiek...

— Co tam wiek!... Mój szal tam leży!... — obruszyła się Kłapczyńska. — Przypominanie zmarszczek, ukrywanych pod pudrem i siwizny, schowanej pod powłoką farby, nie jest przyjemnem.

Dolewska z wyzywającym giestem wyrzekła:

— Ja nie jadę!... — i odstąpiła od wozu.

— Panno Dolewska!... modlił się ze złożonemi rękoma dyrektor. — Jeźli mi pani dobrze życzy!... Dlaczego pani nie ma jechać wygodnie tamtym wozem, tylko dusić się tutaj... Nas tu już i tak za wiele. Ja panią proszę, usiądź pani tam... Pani Kłapczyńska chorowała niedawno na febrę...

— Ja także mogę dostać febry... — odrzekła z irytacją Dolewska, odwrócona od fury.

— Sama w to nie wierzysz królowo!... Pani się febra nie czepi!... W pani wieku... Mój aniele!... Ustąp...

Podczas kiedy Kłapczyńska gramoliła się na wóz, Nowiński, stojąc zdala, drżał z niepokoju. Rozstrzygał się jego los. Jeżeli Dolewska ustąpi, będą jechali razem!... Spędzą noc na jednej furze... tuż przy sobie... jedno koło drugiego...

Jak gdyby wysłuchała jego modłów skrytych, bez jednego słowa więcej, porywczo sięgnęła do budki po koszyk i zawiniątko, oddaliła się do drugiego wozu i wsiadła przy pomocy drżących radośnie rąk chłopca, na tylne, ostatnie siedzenie, po za którem piętrzył się garb powiązanych w płótno bagaży.

— Jedź sobie w budzie, matko... — mruknęła.

Z za budki dało się słyszeć stłumione podziękowanie dyrektora, zakończone komendą:

— Wio!...

I wozy ruszyły — na drugim, za siedzeniem Dolewskiej, Nowiński, dla którego zabrakło już miejsca, usiadł na górze pakunków, jak na garbie wielbłąda, szczęśliwszy, niż gdyby tonął w miękkich poduszkach karety.

— Panie Nowiński — zapytała naraz — gdzie pan jesteś?...

— Tu! — odparł uradowany, że się o niego troszczyła.

— Nie źleć pan, dla Boga!... Powiedzieliby, że się pan przezemnie zabiłeś...

W pierwszym wozie dyrektor, walcząc z głuszącym słowa turkotem, szepnął do żony?

— To ten osieł Nowiński przyszedł przecie?

— Nie wiem, kto mu powiedział, że się jedzie.

— Plaga. Bodaj kark skręcił.

— Gdzieś ty siedział tak długo?

— A u tego kawiarza. Wyobraź sobie, nie chciała mi bestja oddać surduta. Daremnie mu mówię, że tylko na jeden wieczór, na przedstawienie. Powiada, że fantu na dług nie wydaje przed zapłaceniem.

— Jakżeś sobie poradził?

— Zaręczył za mnie ten z poczty... wiesz? ten, co fundował kolację kiedyś nam, Dolewskiej, Plewińskiej... Tak jeszcze pożyczyłem u niego dwa guldeny do jutra.

— Do jutra!?... — powtórzyła, trzęsąc się na siedzeniu ze śmiechu. On także wybuchnął śmiechem i odparł drwiąco:

— Do jutra...

Omawiali jeszcze przez chwilę pozostawione długi i rozważali dające się przewidzieć zachowanie wierzycieli, skoro się dowiedzą nazajutrz o nagłem zniknięciu trupy, poczem z powodu znużenia i spóźnionej pory umilkli i posnęli, jak reszta siedzących w budzie, wynajdując sobie w ciasnocie dogodne pozy. Ciemnością i ciszą nocy jechały fury z tętentem kopyt kłusujących

koni, z brzękiem żelastwa i turkotem kół po twardej szosie.

Na drugim wozie także wszystko już zasypiało. Jeden Nowiński na swem wzniesieniu, jak na placówce czuwał, siedząc, oplótłszy kolano rękoma, nad śpiącą przed nim młodą kobietą.

Przed samem zaśnięciem odezwała się do niego z półsennym uśmiechem osoby owładniętej już pieszczotą snu.

— Panie Nowiński! popraw pan trochę to zawiniątko, oprę sobie na niem głowę...

Zrobił, jak żądała, a ponieważ improwizowana poduszka nie chciała się sama trzymać w żądanej pozycji, podparł ją swem ramieniem i z rozkoszą patrzył, jak poprawiając głowę, zamknęła oczy, otworzyła je, uśmiechnęła się, znów zamknęła i szepnąwszy:

— Śpij pan także — prawie zaraz usnęła.

Nie widział nic dokoła siebie.

Czarna noc nowiu, trochę wietrzna i mglista, zamieniła świat w czarną pustynię nicości. Słychać było turkot jazdy, a oczy widziały zaledwie najbliższą część wozu, konie już niknęły w mroku.

Głaskany chłodnym powiewem powietrza, z rozkoszną myślą o tej śpiącej, którą jakby kołysał i tulił, podtrzymując jej głowę, bez kapelusza, opartą o zwitek sukien, wpatrywał się w jej włosy jasne, teraz wydające się ciemnemi, i gęste, poruszane wiatrem, w ruchy jej głowy, wstrząsanej drżeniem wozu.

Tak jak w tej chwili przed jego oczyma nie było nic więcej pośród pomroki nocnej oprócz tej śpiącej kobiety, tak i dla duszy jego ona jedna tylko istniała w tej chwili. Nie widząc nikogo prócz niej, doznawał złudzenia, jakby był sam z nią i jakby do niego należała, jakby się powierzyła jego opiece w dalekiej i niebezpiecznej podróży po ciemnym kraju bez słońca i spała, obca wszelkiej trosce, czując jego przy sobie.

Myśli te, w których była cała naiwna egzaltacja świeżej duszy ośmnastoletniego chłopca i cała błogość miłości milczącej, bez określonych i śmiałych pragnień, czerpiącej z samego widoku, z samego wspomnienia ukochanej bezbrzeżną rozkosz, wprawiały go w słodkie i jak sen nieuchwytne upojenie a szczęście jego wydawało mu się zupełnem, kiedy otaczał z nieśmiałą pieszczotą i z troską, swoim wzrokiem i czułem uwielbieniem swej duszy mgliste jak widmo zarysy jej postaci, uciszone snem jej usta, tak pięknie zakrojone, i te oczy, o blasku gwiazd, które nakrywała teraz przecudnej piękności powieka, owalna, gładka zasłona delikatnego, różowego ciała. Bezbrzeżnie miłe i dobre uczucie tego zbliżenia, pierwszego w życiu, wśród takich romantycznych i tajemniczych okoliczności, zamieniało się w jedną błogość bez końca, którą się upajał.

(Dok. n.)

Rozbiory i sprawozdania.

Bolesław Prus (Aleksander Głowacki) »Emancypantki«, powieść w 4-ch tomach. — Warszawa. Gebethner i Wolff. 1894, str. 376, 318, 270, 417.

Nie jest Prus przyjacielem ruchu emancypacyjnego wśród kobiet i na serjo nie bierze go nawet. Zdaniem jego, jeżeli kobieta ze sfery zamożnej oddaje się nauce, robi to z nudów, dla jakiego takiego zapełnienia życia, chociaż celu tego nie osięga; wtedy zaś dopiero uspakaja się naprawdę i czuje się wniebowziętą, gdy znajdzie męża, którego może wielbić, choćby to był taki niepoń, jak Kazimierz Norski, albo taki samolub-niedołęga, jak Mydełko. Jeżeli zaś kobieta uczy się i szuka rozszerzenia pola swej pracy z biedy, to się popisuje hasłami emancypacyjnemi dopóty jedynie, dopóki również nie spotka Norskiego lub Mydełki. Kobiety, mówi Prus, mogą być matkami wielkich ludzi, ale same nic wielkiego ani w nauce, ani w sztuce, ani w przemyśle nie dokażą. Prawdziwie kobiece natury, jak Madzia Brzeska, przesuwają się tylko poprzez fale ruchu emancypacyjnego, ale z jego haseł to tylko do nich przylega, co z uczuciem litości, miłosierdzia, spółczucia i dobroczynności najściślejszy ma związek, a co i bez haseł emancypacyjnych od dawien dawna istniało, ale co spełniać jest trudniej, aniżeli wypowiadać górnobrzmiące frazesy.

W takim poglądzie na sprawę kobiecą niewątpliwie dużo jest prawdy, i to, co Prus w powieści swojej ośmieszył, brak logiki i konsekwencji, frazeologiczną krzykliwość, łatwe zmienianie zdań pod wpływem pobudek natury uczuciowej, powierzchowność i płytkość w traktowaniu wszelkich zagadnień, przerzucanie się od pozytywizmu do spirytyzmu i t. p. niewątpliwie na ośmieszenie zasługiwało. Tylko... tylko obok wszystkiego, co się da powiedzieć na niekorzyść ruchu owego, można też w nim znaleźć i rzeczy dodatnie. Sama chęć pogłębienia swych wiadomości, zasługuje przecież na uznanie najzupełniejsze, choćby z tego jednego praktycznego względu, ażebyśmy mieli rozumne, prawdziwie wykształcone (a nie ogładzone jedynie) matki, któreby umiały wychowaniem swych dzieci w pierwszych latach ich życia dobrze pokierować. Uwzględnienie tej strony kwestji nadałoby »Emancypantkom« więcej zgodności z rzeczywistym przebiegiem kwestji kobiecej u nas w ostatnich 25 latach. Jeżeli jednak pominiemy tę jednostronność i ułamkowość w traktowaniu tematu, zapowiedzianego w tytule, to powieść uznać musimy za jedno z najbardziej interesujących zjawisk na polu belletrystyki naszej, za galerją postaci wybornie wystudjowanych, obfitujących w mnóstwo rysów bardzo subtelnie przedstawionych, za szereg sytuacji, pomyślanych znakomicie i wykonanych nieraz prawdziwie świetnie. W tak krótkiej wiadomostce, jak obecna, nie podobna się nawet kusić o przedstawienie całego bogactwa obrazów, jakie przed czytelnikami Prus rozwinął, malując życie na prowincji w małem miasteczku, oraz życie wielu warstw warszawskich — pensja żeńska, nauczycielki, nauczyciele i uczenice, dorobkowicze pyszni a śmieszni, arystokracja wyjątkowa, spirytyści, proletarjat inteligencji, ludzie biedni i zapracowani, marnotrawcy salonowi i umierający z nadmiaru pracy suchotnicy i t. d. Swoje żartobliwe usposobienie i skłonność do jaskrawości barw, przejawił Prus najbardziej w tomie II·

gdzie nakreślił szereg scen powszednich, przeważnie komicznych na bruku małego miasteczka. Subtelność pędzla wykazał w odtworzeniu życia na pensji, w obrazie pani Latter, która jest istotną bohaterką tomu I., oraz w wielu scenach tomu III. i IV. Ten ostatni ugina się pod nawałem rozpraw filozoficzno-przyrodniczych i nie jest harmonijnem zaokrągleniem całości. Uwydatnia się w nim głębia myśli powieściopisarza psychologa, lecz artyzm za to martwieje. Nie prześlepiam błędów, jakie w kompozycji, a po części w rysunku niektórych charakterów wytknąćby się dały; w każdym jednak razie sądzę, że »Emancypantki« dowodzą znacznego pogłębienia talentu Prusa i mieszczą w sobie obrazy, kreślone ręką mistrzowską.

P. Chmielowski.

Przegląd pism.

»Żytie i Słowo«. Dwumiesięcznik, poświęcony literaturze, historji i folklorystyce. Wydaje Olga Franko, redaguje Iwan Franko. — Zeszyt II. — Lwów — 1894. — Str. 161—320, wielkiej 8-ki.

Nowy zeszyt tego młodego wydawnictwa ruskiego sprawia jak najlepsze wrażenie. Nie ustępuje on w niczem pierwszemu, a nawet przewyższa go pod względem obfitości, rozmaitości i doboru treści.

Na początku zeszytu spotykamy cykl bardzo udatnych poezji Oleksy Chodowickiego, osnutych na tle emigracji ludu ruskiego p. t. »W świat za oczy«. Po tych utworach, przenikniętych głęboką miłością ludu, a napisanych w formie pieśni ludowych, następuje ciąg dalszy powieści I. Franki »Filary społeczeństwa«. Na razie trudno jeszcze wydać jakiś sąd o tym utworze, gdyż w dotychczas wydrukowanych dwóch rozdziałach części pierwszej, akcja dopiero się poczyna rozwijać. W każdym razie można tylko to chyba zaznaczyć, że powieść zapowiada się bardzo interesująco. Po »Filarach społeczeństwa« następuje ciąg dalszy przekładu »Pieśni o Rolandzie«, dokonanego przez W. Szczurata. Dalej idzie początek obszernej pracy Iwana Zaniewicza »Ruch literacki Rusinów galicyjskich od 1772 do 1872 r.« Rzecz to napisana na podstawie studjów źródłowych i zasługująca na obszerniejsze sprawozdanie; to też nie omieszkamy powrócić do niej po wydrukowaniu całości, która niewątpliwie przyczyni się do poznania wielu ważnych wypadków mało, albo wcale dotąd nieznanych. Szkoda tylko, że autor, który napisał pracę tę już przed ośmiu laty, nie zadał sobie trudu uzupełnienia jej na podstawie dokumentów i artykułów, które w ostatnich czasach zostały ogłoszone.

Dalej idzie rubryka »Z dawnych rękopisów«, poprzedzona przekładem kilku poezji Wiktora Hugo, dokonanym przez znaną autorkę ukraińską Ołenę Pczilkę, oraz obrazkiem »Chmura« pióra Michała Obacznego, również ukraińca.

W rubryce »Z dawnych rękopisów« podaje dr. Franko odnaleziony przez siebie tekst ruski ewangelji apokryficznej o dzieciństwie Jezusa, czyli t. z. ewangelji Tomasza. Ewangelja ta była tępiona przez kościół, jako charakteryzująca Jezusa całkiem niezgodnie z ewangeljami kanonicznemi; mianowicie według niej Jezus był dzieckiem złośliwem, mściwem, cieszącem się z nieszczęść innych i t. d. W słowiańskiej literaturze apokryficznej znano dotąd tylko serbskie warjanty tej ewangelji. Tekst odnaleziony przez dra Frankę zawiera legendy o Jezusie nieznane dotąd z apokryfów łacińskich i greckich o dzieciństwie Chrystusa.

Notatka L. Wasilewskiego »Z ruchu folklorystycznego w Europie Zachodniej« znajomi czytelników z rozwojem i stanem obecnym studjów folklorystycznych w Europie. M. Dragomanow ciągnie dalej swą obszerną monografję o dawnych kartach swobód.

Po dalszych częściach poematu O. Makoweja »Nowicjusz« i artykułu L. Féra o budyzmie, następuje rubryka »Z ust ludu«, zawierająca zbiór pieśni kupalskich, zebranych na Wołyniu przez Ołenę Pczilkę. Następnie idzie życiorys głośnego uczonego rosyjskiego M. Tichonrawowa, którego wizerunek znajduje się na czele zeszytu niniejszego.

R. L. N. — autor artykuliku »Twórcy dum ludowych« dowodzi, że twórcami dum ludowych na Ukrainie byli ludzie, którzy sami brali udział w wypadkach przez siebie opiewanych, albo przynajmniej mający bardzo blizki stosunek z tymi wypadkami. Co do śpiewaków dum-kobzarzy-bandurzystów, to ci wielce się różnią od lirników-żebraków. Same dumy nie mogą być nazwane ani ludową, ani ogólno-narodową epopeą, gdyż stanowią poezję jednej klasy, t. j. klasy kozaczej.

Artykuł dra Franki »Literatura bizantyjska« znajomi nas z dziełem profesora monachijskiego Krumbachera »Historja literatury bizantyjskiej« tudzież z wydawanem przez niego pismie »Bysantinische Zeitschrift«. Organ ten drukuje artykuły niemieckie, francuskie, angielskie i greckie. Uczeni słowiańscy stanowią znaczny kontyngens współpracowników, to też pismo to obfituje w mnóstwo prac mających wielkie znaczenie dla badaczów wpływu bizantyjskiego w dziejach Słowiańszczyzny, zwłaszcza wschodniej i południowej.

Dwa artykuliki (I. Franki i M. Dragomanowa) o najświeższej pracy prof. Sumcowa »Duma o burzy na Czarnem morzu« łagodzą poniekąd ostry sąd, wydany w zeszycie poprzednim o metodzie naukowej tego uczonego rosyjskiego.

W obfitym dziale sprawozdań, spotykamy referat o dziele I. Świętka »Lud nadrabski«. W kronice podana jest wiadomość o dziale etnograficznym wystawy lwowskiej, o zjeździe literatów i artystów polskich i o powstającem we Lwowie towarzystwie folklorystów. Zeszyt kończy nekrologja.

L. Wasilewski.

Z RUCHU LITERACKIEGO.

Dygasiński Adolf. Kraińcowy. Nowelle. Warszawa, str. 256, złr. 1·40.

Hajota. Z dalekich lądów. Nowelle i opowiadania. Warszawa, str. 319, złr. 1·40.

Jeż T. T. Edward Kloc. Powieść. — Warszawa, 1894, str. 152.

Jordan (Wieniawski Julian). Pisma 6 tomów. — Kraków, 1894.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.